XXII. Kraków, 15 lutego 1919 r. Nr. 4

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 6 koron.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny) Telefon Nr. 479
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.**

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



Życie a teatr.

On: **Miłość moja jest pewna, wypróbowana.**

Ona: **Jako aktorka mam to doświadczenie, że zbyt wiele prób tylko szkodzi sztuce!**

Od Wydawnictwa.

Niniejszem zawiadamiamy naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów, iż od dnia 1 marca b. r. podnosimy cenę pojedynczego egzemplarza jak i prenumeratę naszego pisma.

Kolosalna w ostatnich miesiącach ubiegłego roku **zwyżka cen papieru i farb**, a ostatnio skutkiem wypadków politycznych spowodowane **dalsze podniesienie się cen papieru i wszelkich materyałów drukarsko-technicznych**, połączone z nadzwyczajną trudnością ich otrzymania wobec odcięcia naszego kraju od zagranicy, wreszcie **podwyższenie cennika drukarskiego i porta pocztowego** — wszystkie te przyczyny zmuszają nas do **podniesienia ceny naszego pisma**, która i tak nie pokryje w zupełności naszych kosztów, ale przynajmniej umożliwi naszemu pismu przetrwanie krytycznego czasu.

Licząc na wyrozumiałość naszych P. T. Czytelników, którzy dobrze odczuwają obecne położenie prasy polskiej, sądzimy, iż i nadal P. T. Czytelnicy nie odmówią naszemu pismu swego poparcia.

Cena pisma wynosić będzie od 1 marca w koronach:

pojedynczy egzemplarz . . .	**1·30**
kwartalnie wraz z przesyłką .	**7·50**

w markach:

pojedynczy egzemplarz . . .	**—·88**
kwartalnie wraz z przesyłką .	**5·05**

Pomyliło mu się!

Małego Srulka wysłano do apteki, aby ku pił dla mamy dyachlu. Biedaczka ogromnie cierpiała, albowiem zrobił się jej czyrak i to w tem miejscu, na którem się siada...

Na odchodnem musiał Srulcio kilka razy powtórzyć:

— Panie aptekarzu! Mojej mamie potrzebował się zrobić z tyłu czyrak, proszę za pięć centy dyachil...

To zdanie powtarzał sobie całą drogę, ale w międzyczasie napadł nań pies i ze strachu wszystko mu się pomieszało w głowie.

Nic też dziwnego, że przyszedłszy do apteki wyjąkał:

— Panie dyachil!... Mojej mamie potrzebował się na tyłku zrobić z przeproszeniem aptekarz... Proszę mi dawacz za pięć centy czyrak... Ale fein!...

Aktualny kuplet Pana Venzla Sralaczka.

Wobec scen i estrad prawo autorskie zastrzeżone.

I.

Przyjacielu Nastupil!
Świat się zmienił w parę chwil,
Chociaż byłeś austryak,
Przynależność masz do Prag!

Niezadługo oba-cwaj
Pojedziemy w czeski kraj,
Ubierzem się na „eywil",
Mój kochany Nastupil!

Bielizna — od Parizka!
Od Teplego — walizka!
Buty — z firmy Krotochwil!
Łyknem winka
U Tatinka
I pojedziem, Nastupil!...

II.

Znam dziewczynę w Czeski Las,
Ona dla mnie jest w sam raz!
Miała dziecko — istny koń!
Lecz nie ze mną! Boże broń!

Wezmę ślub i zrobię bal,
Jak-em ci już powidal!
Całą furę knedli zjem
I pilznerem popijem!

Będzie pił — pan Parizek
I pan Tepli — zacny człek
I ten dobry Krotochwil!
I Tatinek
Czeski synek
I ty drogi Nastupil!



Fatalne omyłki druku.

Ze sprawozdania wyborczego: Celem omówienia kandydatur, które mają być postawione, zebrał się na zgromadzenie przedwyborcze zarząd partyi syonistycznej i ka**k**ał.

Z ogłoszenia: Kostyumy, płaszcze i spodnice przyjmuje do roboty i przerabia w najkrótszym czasie po cenach znacznie zniżonych Magazyn ko**n**i damskich, S. A. Hirsch, Kraków.

(Uwaga: Ogłoszenie autentyczne z nr. 1 żydowskiego Dziennika z dnia 3. lutego b. r. strona 3).

Z dyagnozy: Nie**g**łodność po zapaleniu ja**m**ników.

Z księgi wynalazków: Marconi, wynalazłszy telegraf bez drutu, zawołał z radością: „Do **k**upy z drutem!..."

Z komunikatu: Zwłaszcza **ł**ydki naszych dzielnych wioślarek były przedmiotem o**r**acyi.

Z kroniki: Ozdobiony złotym krzyżem za sługi.

Dobra definicya.

(Z dawnych austryackich czasów.)

— Wus ist a Kadet?

— A Kadet ist epes dues, epes jenes, epes gur nyszt!...

Nie w porę.

U pewnego starszego jegomościa bardzo wyrozumiałego na błędy młodości, spowiadała się młoda panienka.

Zapłoniona penitentka szeptała właśnie:

— Wczoraj wieczorem siedziałam z mym narzeczonym w ciemnym pokoju...

— I co dalej? — przerwał niecierpliwie spowiednik.

— On mnie objął w pół i ucałował serdecznie, a potem podprowadził mnie ku kanapie...

— I co dalej?...

— Uściskiem złączeni, szeptaliśmy sobie wyznanie miłosne..

— I co dalej?...

— W tej chwili weszła do pokoju mama z lampą w ręku...

— A licho ją nadało, czy co?... — zawołał zirytowany jegomość, waląc pięścią w konfesyonał. — Nie miała kiedy przyłazić, tylko akurat wtedy...

Projekt ustawy organizacyjnej „Komitetu dla podtrzymywania lichwy".

Uznając wysoką szkodliwość dotychczasowego statutu dla tak doniosłej dla wszystkich kupców i rękodzielników akcyi podtrzymania lichwy, postanawia się, na wniosek i w porozumieniu z interesowanymi, co następuje:

§ 1.

Wszelkie doniesienia przeciw rzekomym lichwiarzom mają być załatwiane w ten sposób, że Komitet wniesie z urzędu przeciw załączemu się doniesienie o oszczerstwo, Sąd karny zaś, uznając wszelkie argumenty obrony za nieprawdziwe, wyznaczy oszczercy-donosicielowi tęsamą karę, jaką byłby otrzymał rzekomy lichwiarz, gdyby fakta podane przez oszczercę w doniesieniu były prawdziwe.

§ 2.

Izba Adwokacka, na wniosek Komitetu, nakaże swoim członkom bezpłatną obronę posądzonych o lichwę, wzbraniając równocześnie podejmowania się obrony donosicieli, ponieważ ci swemi oszczerstwami podkopują przemysł i handel i przyczyniają się do upadku wszelkich rękodzieł.

§ 3.

Celem zapewnienia, że paskarzom i lichwiarzom ani włos z głowy nie zleci, a akcya podtrzymywania lichwy, tak wspaniale popierana przez czcigodny Rząd ostatniego panującego z linii pseudo-habsburgsko-lotaryńskiej, założonej przez Maryę Teresę i Kaunitza — i nadal także nie będzie paraliżowaną, postanawia się, że członków Komitetu dla podtrzymywania lichwy desygnuje wyłącznie tylko Izba Handlowo-Przemysłowa, w porozumieniu z wszystkimi interesowanymi.

§ 4.

Prócz członków zwyczajnych, przez Izbę *ad hoc* desygnowanych, zasiadać będą w Komitecie także wiryliści, a między nimi w pierwszym rzędzie każdorazowy naczelnik Akcyzy miejskiej i wszyscy dyrektorzy byłych austryackich Central bydła i innych. Prezydentowi miasta i radcy Sawińskiemu przysługuje prawo przysłuchiwania się obradom Komitetu i stawiania wniosków o podwyższenie cen chleba i mięsa.

§ 5.

Rewizye będą przeprowadzane wyłącznie tylko przez t. zw. Straż Obywatelską z dzielnicy Kaźmierz, przyczem jednak członkowie tej straży dla zapewnienia im ich własnego bezpieczeństwa fungować będą z karabinami nie nabitymi. W razie większej niepogody lub niebezpieczeństwa wyręczać będą wspomnianą Straż organa policyi, z wykluczeniem atoli tych urzędników, którzy sami nie mają dostatecznego doświadczenia w handlu paskarskim.

§ 6.

Gdyby, na skutek przeoczenia ze strony Komitetu, którakolwiek z pierwszorzędnych firm była zmuszoną odpowiadać przed Sądem karnym, winien tenże z urzędu uznać prawdziwość każdej przedłożonej mu faktury, a w braku tejże porękę ze strony którychkolwiek dwu, już dawniej za lichwę karanych, kupców.

§ 7.

Z uwagi na potrzebę roztoczenia równej opieki także nad handlem eksportowym, wzywa się Władze wojskowe, aby i nadal zabraniały swoim podwładnym wszelkiej ingerencyi i wglądu w podejrzane przesyłki i aby pociągały do surowej odpowiedzialności każdego, ktoby przypadkiem odkrył wagon wędlin wieprzowych i tłuszczów, wysyłanych do Bogumina, a deklarowanych jako konina.

Analogiczne wezwanie wystosuje się do Władz kolejowych.

§ 8.

Posiedzenia nowo zorganizować się mającego Komitetu, będą się odbywać — celem zamanifestowania jego bezwyznaniowego i patryotycznego charakteru — w kawiarni Teatralnej, której komik będzie w przerwach dysputy odświeżać członków Komitetu plwaniem na głupi naród, co nie tylko trzyma u siebie przybłędów, ale jeszcze ich złotem obsypuje.

Artykuły końcowe.

I. Całe prezydyum poprzedniego Komitetu stawia się w stan oskarżenia.

II. Adwokata Skąpskiego i sędziego Rostafińskiego skazuje się na deportacyę na wyspę św. Heleny, z tem, że temu ostatniemu zamienia się w drodze łaski, na wniosek jednego z interesowanych rzeźników, karę deportacyi na powieszenie, a to z uwolnieniem od taksy, jako że wykona bezintezesownie sam wnioskodawca.

Jako obostrzenie kary deportacyi służyć będzie t. zw. „Delegacya polskich pań katolickich", które, pod wypróbowanem dowództwem pana Rosenzweiga, odwiedzać będą więźniów powyższych dwa razy w tygodniu, mianowicie w dni postne.

III. Naczelnikowi bydła miejskiego, Drowi Zawadzkiemu, nadaje się wielką gwiazdę ko-

Lekki zarobek.

— Jak się zdaje, to panna Stefcia musiała na wojnie zrobić dobry interes. Dawniej szyciem zarabiała na życie, teraz gra rolę wielkiej pani i rozbija się po kawiarniach...

— Tak!... Ona była pielęgniarką od początku wojny i powiadają ludzie, że na jednem prześcieradle zarobiła więcej, niż niejeden handlarz bielizny na całym swym sklepie!...

Hymen i Granit.

„Hymen-Granit“ to sztuczydło
Bezecnej roboty,
Pomnik iście *granitowy*
Bezwzględnej głupoty.

O ten pomnik dyrekcyjny
Z granitu kowany,
Rozbiły się grafomańskie
W teatrze bałwany!

Na wsi.

Wiejski chłopak pędzi na pastwisko stado świń, a sam za niemi postępuje z kapeluszem w dłoni, choć słońce praży niemiłosiernie...

Jakiś letnik widząc chłopca, pyta, dlaczego kapelusza nie wdziewa na głowę.

— A... bo to dworskie świnie! — tłumaczy chłopiec.

I to bywa!

U Hawełki rozmawia ze sobą dwu panów o polowaniu. I jeden i drugi jest zapalonym myśliwym, a choć żaden z nich nie ma dotąd na sumieniu śmierci bodaj jednego jedynego zająca, z każdego polowania wracają z obfitym łupem (kupionym u Allerhanda na Szpitalnej, lub Dintenfassa na Szewskiej...).

— Ja panu inżynierowi powiadam, że przy polowaniu pies dobry to grunt... A jakie to szelmy są zmyślne... Możnaby nieraz myśleć, że taka czworonożna bestya ma więcej rozumu od swego pana...

Tak! Tak, panie mecenasie!... Ja to wiem z doświadczenia!... Sam miałem takiego psa...

mandorską orderu Lea I. z uwolnieniem od taksy, a ponadto emeryturę 100.000 koron do dziesiątego pokolenia włącznie i wreszcie monopol zakładania wszelkiego rodzaju central w kraju i zagranicą, z tem, że wszystkie te centrale prowadzić będzie b. dyrektor bydła austryackiego, p. Dalkiewicz.

IV. Rzeźników: Dra Prochowskiego i Wajdę, którzy z zaślepieniem obstają przy utrzymaniu ceny 8 koron za kilogram mięsa i tę tylko cenę faktycznie dotąd pobierają, wbrew proponowanej przez magistrat 14—16 koron, uznaje się za nieuleczalnie chorych *(dementia antipascarica)* i jako takich oddaje się w dalszą pielęgnacyę Fizykatowi miejskiemu, który z nimi odpowiednio postąpi.

V. Piekarzowi Broszkiewiczowi otwiera się nieograniczony kredyt na kupno drugiego prywatnego automobilu, dalszych dwudziestu kamienic i zaopatrzenie w pierścienie z brylantami także wszystkich palców u nóg, ponieważ na rękach niema już ani jednego centymetra kwadratowego nie pokrytego precyozami, które to okoliczności wszystkie razem wskazują nie zbicie, że piekarze są „biedni“ i tylko skrajna nędza zmusza ich do podniesienia ceny chleba o koronę na kilogramie.



Na piątkę!

(Echo powyborcze.)

Trzeba wiedzieć, że w Krakowie nazywa się oddział chorób skórnych i wenerycznych w Szpitalu św. Łazarza popularnie „piątką“ lub „Paryżem“.

Pobyt tam nie należy bynajmniej do przyjemności. Ci i te, gdy ich los tam zagnał, chętnie wykreśliliby z pamięci chwile tam spędzone.

Jakby na złość, lista kandydatów i kandydatek do Sejmu polskiego. postawionych z ramienia tak zwanego „bloku narodowych stronnictw“, otrzymała numer piąty, nazywano ją też popularnie „piątką“...

Ale to właśnie było powodem wielu nieporozumień.

I tak spotyka się na placu Szczepańskim pani Maciejowa z panią Tomaszową. Jako politycznie uświadomione niewiasty, mające niezadługo stanąć przy urnie wyborczej, zaczynają też rozmowę o polityce.

— Idzie pani na piątkę? — pyta Bogu du cha winna pani Maciejowa panią Tomaszową.

Ta widocznie ma niezbyt czyste sumienie i dręczą ją przykre wspomnienia z lat dawnych, gdy bowiem usłyszała to fatalne słowo „na piątkę“, źle sobie je tłumacząc, wzięła się pod boki, co u niewiast oznacza pogotowie wojenne i odparła zaperzona:

— Cóż to znowu?... Za kogóż to mnie pani Maciejowa ma?... Wypraszam sobie raz na zawsze podobne pytanie... Ja jestem, dzięki Bogu, uczciwa kobieta i wiedzą o tem ludzie... Nie potrzebuję też chodzić na żadną „piątkę“! A gdyby już nieszczęście chciało, bym zasłabła, to stać mnie na to, by sobie „wezwać“ lekarza do domu!... „Na piątkę“ niech sobie idą z przeproszeniem jakieś tam lafiryndy, albo pani Maciejowa, jeśli ma ochotę!...

I dużo trzeba było czasu i wysiłków, by pogodzić powaśnione przyjaciółki, co się przecież ostatecznie powiodło.

Co to jest?

— Co to może być?... Łączy rozdzielone, podnosi opadłe, zastępuje brakujące?

— Już wiem!... To damski gorset.

Z Teatru Powszechnego.

„Dzwony z Corneville“, operetka R. Planqueta.

„Dzwony“!.. Któż z nas nie pamięta?
Operetka to nie nowa!
Primadonna z chóry wzięta,
Z dyalektem Łyczakowa!

Dygi, dygi, dygi!
Dygi, dygi, don!
Niedźwiadka podrygi,
A głos młodych wron!

Lecz Dyrekcya jest kontenta,
Wszystko idzie nie najgorzej.
Bo na scenie są krowienta,
A Harasimowicz w loży!

Chcieli zrobić z figi
Ananasa — więc:
Dygi, dygi, dygi!
Dygi, dygi, bęc!...

Ostrożna.

— Więc podziela pani moje uczucia, panno Lolu?

— Tak!...

— Mogę więc pomówić o tem z mamą pani?

— O!... Co to, to nie!

— Nie?... Więc nic z mych najserdeczniejszych marzeń?...

— Właśnie dlatego nie radzę panu mówić o tem z moją mamą, aby się tak nie stało!... Stara tak leci na mężczyzn, odkąd owdowiała, że z pewnością chciałaby mi pana zdmuchnąć z przed nosa!...

Oświadczyny jąkały.

— Panno Sta.. sta...sta...siu!... Ja panią ko... ko... kocham!...

— Proszę... niechaj pan to wyjąka mojej mamie!...

Odgadł.

— To jednak ciekawe, dlaczego dawni Turcy mieli takie krzywe szable?

— Zapewne dlatego, bo mieli zakrzywione pochwy... Inaczej nie byliby do nich mogli ich włożyć!...

Co to znaczy?

Sprawozdawca teatralny „Illustrowanego Kuryera codziennego“ pisząc o „Artykule 264“ w taki sposób określa znaczenie K. Zalewskiego w literaturze dramatycznej:

Wiele wartości dzieł Zalewskiego rychło przeminęło, niektóre jednak zębem czasu dotknięte być nie mogły, należąc do górnej kategoryi tego, co nie przemija.

Górna kategorya i dolna kategorya!... Piramidalne!... Do górnej nie należy jednak z pewnością ów sprawozdawca!

W hotelu.

— Chciałbym dostać coś ciepłego
Zanim jeszcze z łóżka wstanę... —
Rzekł w południe gość w hotelu,
Trąc powieki rozespane.

Na to mowi pokojówka:
— Z przeproszeniem jaśnie pana!
Co pan teraz o tem myśli,
Kiedy jestem już ubrana!...

Dział grafologiczny „Bociana“.

W najbliższym numerze pisma naszego, a więc w numerze **5**, wprowadzamy nowy, niezmiernie interesujący

Dział grafologiczny.

Grafologia stanęła dzisiaj na wysokości poważnej, ścisłej nauki, posiadającej swoje normy i prawidła. Z charakteru pisma można wnosić o charakterze, usposobieniu, zaletach i wadach danej osoby. Trafna ocena pisma mniej więcej może jednak tylko wtedy nastąpić, jeżeli są zachowane pewne

Warunki:

1) Należy pisać na białym papierze czarnym atramentem.

2) Pismo musi być zupełnie swobodne, niewymuszone. Pismo kaligrafowane, ozdobne, sztychowane, rondowe etc. nie może być brane pod grafologiczną analizę.

3) Treść, która przy ocenie absolutnie nie wchodzi w rachubę może być zupełnie dowolną. Chcący korzystać z wiedzy i usług naszego grafologa winni

4) Próbę pisma z zachowaniem warunków pod 1, 2 i 3 wyszczególnionych przesłać w zaklejonej i należycie ofrankowanej kopercie pod adresem naszej Redakcyi z napisem u góry: **„Dla grafologa“** — oraz

5) Przesłać równocześnie z próbą pisma jako należytość za ocenę grafologiczną kwotę **trzech koron** i to nie w markach pocztowych, lecz **przekazem.** Próby pisma, którym nie „towarzyszy“ przekaz na trzy korony, nie będą brane pod rozpatrzenie grafologiczne.

6) Odpowiedzi grafologiczne zamieszczać będziemy w numerach „Bociana“, ukazujących się każdego pierwszego dnia w miesiącu (a więc w co drugim numerze naszego pisma.

Pierwszy więc numer „Bociana“ z ocenami grafologicznemi ukaże się dnia 1 marca 1919 r. (Nr. 5-ty).

Nadmieniamy, że nasz grafolog jest wybitną siłą w zakresie tej nauki i przez kilka lat z rzędu był referentem tego działu w jednym z najpoczytniejszych dzienników krakowskich.



— Daruj, mój kochany! Ja sobie inaczej przedstawiałam małżeństwo!... Więcej żywiołowo, mniej oficyalnie..

Mąż: A więc dobrze! Mam myśl! Rozwiedźmy się i kochajmy się nieoficyalnie!



— Moja córka jest chora! Była wczoraj w seperatce na kolacyi i ma teraz kurcze!

— Moja była także w seperatce przed dziewięciu miesiącami i ma teraz dziecko!



— Gdy cię tak tulę w objęciach, gdy przyciskam do serca — co odczuwasz pani tańcząc ze mną?

— Że mi pan ustawicznie deptasz po nogach!



— Czarna kawa ma jedno podobieństwo z panią: podnieca i po pijaństwie dobrze robi!

— Szkoda, że i pan nie ma właściwości czarnej kawy!

— ?..

— Bo po pijaństwie źle pan robi!



Z za kulis przy ul. Rajskiej.

— W *„Boczianu“* stało, że panna masz krzywe nogi, nu... to ja będę się namyśleć!...

— W każdym razie niech się pan prędko namyśla, bo im więcej tańczę tem będą krzywsze!



Poeta w łóżku.

— Schiller mówi: *„Mit dem Gürtel mit dem Schleier reisst der schöne Wahn entzwei!“* Jakbyś to przetłómaczył, mój mężu?

— „Z tym welonem i z tym paskiem
Każda cnota pęka z trzaskiem!“



— Nie wpuścisz dziś nikogo, rozumie się z wyjątkiem pana Artura, Władysława, Hipolita, Jerzego, Edwarda i Wacława.

— To znaczy żadnego z tych panów co u nas bywają.

— Przepraszam cię! Bywa jeszcze mój mąż!



— Mówią, że sztuka nie popłaca! Wierutne kłamstwo! Pozowałam malarzowi Bazgralskiemu do „Ledy“...

— No i cóż?

— Bardzo dobrze! Mecenasowi Fingerhut obraz się spodobał i od razu...

— Kupił go?

— To nie, ale urządził mi mieszkanie i wyznaczył 1000 koron miesięcznie.

Ferdek Eleuteryk.

Słowo się rzekło, kobyła u płotu!... Miały być wybory na trzyźwo i sucho, tak tyż i było, nawet dyszcz wtedy nie był z nieba kapiący. Ale czyste to już wcale nie były, choćby ino z tej przyczynowej przyczyny, że teroz śmieci i błota jest w Krakowie aż zadużo, podobno dla strategicznych powodów, aby, skoro przyknają pod Kraków czeskie Pepiczki, było z czygo robić barykady.

Klawe to chłopy, te Czechy!... Dawnij było się mówioncym, że kużdy Czech to albo złodzij, albo z przeproszyniem muzykant, a tymczasem widzimy, że oni są i morowe poletyki (choć kużdy poletyk to tyż złodzij, bo chce drugiemu coś buchnąć...) i zatracene wojowniki (w kużdym regimencie musi być banda!...) Pedzieli sobie, że cały świat jest czeski i nuże włazić wszędzie, niczem świnia w ogród.

Jo tam z Czechami byłem zawsze trzymajoncy sztamę i nieraz byłem do „Tatinka" na Szewską chadzajoncy na fitkę czeskigo węgra, albo do Józefa, gdy był jeszcze świnty paminci kole mostu podgórskigo. Prosze mi dziś być taką kiche pokazujoncym, jaką se człek był tam dwa razy w tygodniu wsuwajoncy. Lubie tyż knydle czeskie ze śpekiem i dołki czeskie z powidłem, ale już największym amatorem to byłem zawsze Czeszek, bo. to morowe brzany, jedna w drugą niczym knydel, a już na widok tych knydelków, które kużda z nich na froncie jest noszonca, to kużdemu chłopu o mały figiel kapowidła nie były na wirzch wyłażonce.

Cheba, że już był całkiem do niczygo, czyli po łacińsku *impotens*, co sie na naszą mowę jest tłumaczony „cysarski radca".

Nie zapomne tyż, że Czechy mają wobec nas zasługi i nieraz już byłem się z nimi z dubeltówki w cyferblat całujoncy, ale teraz, po tym świństwie, które nam zrobili, to mogę im ino tę prepozycyję być rob oncym, aby oni mnie byli całujoncy... w odwrotną stronę mentolu.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie!... Czechy na nos, my na nich. Bierzmy się do nich bez różnicy pci i wieku, a że, jako wiadomą jest rzeczą, jest to i naród tchórzem podszyty, kto wie, czy nie będą zmuszeni znowu nie tylko ręce ale i nogi być do góry podnoszoncy. Chciołbym sie znaliźć na takim pobojowisku, gdzie walczyła armija czeskich Amazonek.

Ale może se dadzą Czechy spokój i zostawią Kraków na boku, a poknają ino do Wieliczki, bo im soli potrzeba. O tym bedzie czas być wtedy grypsajoncym, gdy się to stanie, a tymczasem to lepij nie być wywołujoncym wilka z lasu i uprawiać na wzór naszych wielgich mężów stanu poletykę wyczekiwania.

Ważniejsze, że już po wyborach i że się przy nich obeszło i bez kiełbasy i bez trunkowości i bez godziny duchów... Ale jak tyż wypadły, to przeciw tymu nie ma się Boże!... Z Krakowa który ma być sercem Polski, wyszło aż trzech zblokowanych niby-narodowców (*erzac*, jak wszystko w wojennym czasie...), jeden kandedat na ministra ze stronnictwa kandedata na ministra Stapińskiego i wreście jeden z przeproszyniem syjonista, aby cały świat był wiedzoncy, że Kraków to teroz nie jest „mały Rzym", ale całkiem wielgo Palestyna.

Zoboczymy, jak to teroz bedzie, klawij, czy gorzyj i co nom ten sejm bedzie uchwalajoncy.

Niechaj ino nie bedzie właźoncy w ślady dotychczasowych naszych gabinetów, z którymi z przeproszyniem... do latarni!... Jedyn gorszy od drugigo! Byli burżuje godajoncy, że jest źle, bo Moraczeski nie jest rządzić umiejoncy, przyszed potym muzykalny gabinet Paderewskigo i klawij nie jest!... I te i tamte ministry tylko nad tem makówe były sobie suszonce, skąd wziąć hopów, bo bez nich nie do rady. Ale z próżnygo i Salamon nie naleje, a Salamonów między nimi bardzo mało!

Siapsia, to zupełnie co innygo!... Ten potrafi być coś z niczygo robioncym i twierdzi, że niech mo ino wodociong w porzondku, to mu nie braknie ani wina, ani wódki, ani jenszej trunkowości, choć dowóz do Krakowa wstrzymany...

Ale znów nie kużdy może być Siapsią!

Nowy dygnitarz dworski.

No i znów Serenissimus
Był wraz z dworem swym w podróży,
W jednem mieście się zatrzymał
Naumyślnie nieco dłużej.

Bo dowiedział się już przedtem,
Że mieszczanie mają złoto,
A mieszczanki urodziwe,
Zbyt nie drożą się z swą cnotą

I zachwycił go u mieszczan,
Widok strojów i klejnotów
I pasł oczy wdziękiem mieszczek.
To i tamto zabrać gotów.

Przez Ochmistrza się umówił
Z dziewic młodą delegatką,
Bo monarcha lubiał figle
Jeszcze czasem — ale rzadko!

Lecz wpierw stanu obowiązki!
O! Zawrotny królów losie!
Król przyjmował deputacye,
Z roztargnienia dłubiąc w nosie.

Na zapite rajców gęby
Przypatrywał się z pod oka,
Wysłuchując żalów ludu,
Przyczem ziewał nakształt smoka!

Potem cofnął się do siebie,
Pożegnawszy lud swój dłonią,
Zmienił ubiór i bieliznę,
Zbyt przesiąkłe wiernych wonią.

Wziął w pałacu lewatywę,
Z rąk medyka złotą szprycą
I prywatną miał audyencyę,
Z już wiadomą nam — dziewicą.

Uklęknęła widząc władcę,
Delegatka stremowana,
A król podniósł ją łaskawie
I posadził na kolana

— Ja dla siebie nic nie proszę! —
Tyle wyrzec była wstanie,
— O! monarcho wielkoduszny!
Niech mój ojciec co dostanie!"..

— Ile ojciec twój ma córek? —
Król zapytał i wąs mota.
— Ze mną tuzin!... — Król się zdziwił:
— Co za dzielny patryota!

Czemuż inni w państwie mojem,
Nie szukają z niego wzoru?!..
Tuzin córek!.. Twego ojca
Zrobię więc — dostawcą dworu!..

W przerażeniu...

Pan Tymoteusz zastaje swą rodzoną żonę w objęciach kochanka... W pierwszej pasyi chwyta za rewolwer, by zgładzić ze świata swego wroga, ale między obu rzuca się jego małżonka, wołając z rozpaczą:

— Mężu! Miej litość!... Nie zabijaj ojca swych dzieci!...

Kto się zna?

Do spowiedzi u ojca Bernardyna zgłasza się facetka i wyznaje, że przed miesiącem nie otrzymała rozgrzeszenia.

— Z powodu? — pyta Bernardyn krótko.

— Z powodu romansów z mym narzeczonym... — odpowiada skromnie panienka.

— A u kogo byłaś do spowiedzi?

— U ojca Jezuity...

— Także się wybrała... Co tam Jezuici znają się na kochaniu!...

Porywczy sędzia.

(Autentyczne).

Pan sędzia X w Y. był wobec dam nadzwyczaj ugrzeczniony.

Pewnego razu zjawia się w jego biurze strona, naturalnie rodzaju żeńskiego (strona chyba innego być nie może).

Pan sędzia ujrzawszy szykowną damę, rzecze, wskazując na krzesło!

— Proszę siadać!

Strona się waha, pan sędzia powtarza głośniej:

— Proszę siadać!

Ale i to nie pomaga, sędzia woła już zaperzony:

— Proszę siadać!...

Strona siada i czeka na swą kolej cierpliwie.

Wreszcie wywołuje pan sędzia:

— Rozalia Guzik!

— Jestem!... — odpowiada strona i chce wstać.

— Proszę siedzieć!... — woła pan sędzia, co też posłusznie ofiara czyni.

Sędzia tymczasem bierze akta do ręki i zwracając się do „strony" pyta:

— Zawód?

— Prostytutka!... — brzmi odpowiedź.

— Co? Prostytutka?... — powtarza zapytanie pan sędzia.

— Tak jest!...

— W takim razie proszę wstać!...

„Strona" podnosi się z krzesła, ale jakoś powoli, tak się przynajmniej zdawało panu sędziemu, krzyczy bowiem ile może tchu złapać:

— Proszę wstać!... Proszę wstać!...

Życzenie.

Na dworze wstrętny mokry dzień grudniowy. Ubrany w cienkie, przedwojenne jeszcze, z wytartą podszewką palto i kamaszki pamiętające też lepsze czasy, a dziś w ten dzień szary, deszczowo-śnieżny pełne wewnątrz zimnego błota, byłem prototypem intelligenta, pobierającego trzysta koron miesięcznie. I oto gdy przechodziłem 9 grudnia wieczór cały mokry i przeziębnięty obok kilku lokali, z których dochodziły mnie przygłuszone tony muzyki i jarzącem światłem błyszczały przysłonięte okna, zdjęła mnie nagła, niepokonana chęć wejścia do środka. Zbieram na odwagę i wchodzę. Zmieszany zdejmuję moje wytarte palto i lękliwym krokiem wsuwam się do sali, gdzie znajduje się mały dyskretny stoliczek. Wyciągam z rozkoszą wyziębione członki, kryjąc pod stołem moje łatane kamaszki. Spoglądam dokoła...

Zdaje mi się, że śnię, że jestem w jakimś innym świecie. Widzę zadowolone twarze, słyszę głośne śmiechy, wesołe rozmowy... A kobiety, ach! kobiety, prawie, że w toaletach balowych, lśnią brylantami, rzucają w koło spojrzenia zalotne, pełne zagadek i obietnic, łyskają ząbkami, które zanurzają w kieliszkach pieniącego szampana.

Gdy nareszcie po godzinie stanął przy mnie kelner, zażądałem wstydliwie porcyę kawy i czułem, że się rumienię pod jego spojrzeniem, którem zdawał się mnie taksować.

Dochodziły do mnie również, wśród gwaru głosów, urywki rozmów, które otworzyły mi oczy. Cukier, ziemniaki, zboże, drzewo, węgiel i wymieniane zawrotne cyfry. A muzyka grała tęsknego walca, towarzystwo obok mnie zaczęło go nucić. Ja przymknąłem oczy i marzyłem...

Gdybym był paskarzem... miałbym wspaniałe mieszkanie, najmodniejsze ubrania, nie chodziłbym nigdy piechotą, paliłoby się ciągle w piecach, a kobiety... ach! inaczejby na mnie patrzyły. Ja posyłałbym im kwiaty, kupowałbym brylanty, a one patrzyłyby na mnie swemi najsłodszemi spojrzeniami.

Kelner przyniósł mi kawę i z niechęcią postawił ją przedemną, lecz mnie odechciało się już pić. Zbudził mnie z marzeń.

A towarzystwo obok kazało przywołać sobie trzy dorożki. Wybierali się gdzieindziej, bo tu było im już nudno i szukali weselszego lokalu i lepszej muzyki.

I ja za chwilę, zapłaciwszy moją kawę, znów dyskretnie przesunąłem się w mych dziurawych butach, aby wyjść i topić się w brudnem błocie. Wychodząc myślałem: szkoda, że nie jestem paskarzem... *Chat-Blanc.*

Z listów Hermogenesa Klapy.

Najdroższi!

Stawiając się w słowie, aczkolwiek mam obecnie głowę czem innem nabitą i zupełnie co innego po niej mi chodzi, niż Wam się może zdaje, składam niniejszem sprawozdanie z mej wizyty u wuja Wilsona, na którą zostałem urzędowo zaproszony.

Aby zaznaczyć swe demokratyczne przekonania ubrałem się w marynarkę, a to także i z tego powodu, ponieważ mój angiez byłem zmuszony dać do wyprania po ostatniej poufnej konferencyi z delegatem ukraińskim Iwanem Moczymordowiczem Deryszkirą, z którym wówczas piłem nawet „bruderszaft“.

Wujaszek Wilson czekał już na mnie w swym gabinecie. Czytał właśnie, widocznie aby mnie ująć za serce, *Bociana* i palił przytem, jak poznałem po zapachu, austryackie portoriko, rodem z krakowskich plantacyi, ale nie tytoniowych.

— Klapa! — rzekłem, kłaniając się już przy samych drzwiach.

— Bardzo mi przyjemnie! — odrzekł, odkładając gazetę i cygaro i wskazując na stojący obok fotel. — Proszę, panie Klapa, niech pan klapnie...

W tej chwili przyszedł mi na myśl amerykański fotel elektryczny, służący do ułatwiania przejścia do lepszego życia obywatelom wolnej Ameryki, nic też dziwnego, że mając wobec niego (Wilsona, nie fotelu!...) niezupełnie czyste sumienie, popatrzyłem, czy też przypadkowo nie łączy się z jakimś przewodem elektrycznym (fotel, nie Wilson!...).

On to zrozumiał (naturalnie Wilson, nie fotel!...) uśmiechnął się jakoś dziwnie i rzekł:

— Niech się pan nie obawia, panie Klapa! Nic się panu złego nie stanie!... Jesteś pan mym gościem, a trzeba ci wiedzieć, że nie tylko Polacy szczycą się cnotą gościnności. Znaną jest ona i w Stanach Zjednoczonych, dlatego chętnie spieszą do nas dawni obywatele starego świata...

Po tych słowach odetchnąłem jakoś lżej i siadłem, ale dość ciężko, gdyż, nie chwaląc się, jestem dość korpulentny, choć dzięki wojnie i tak nieco z żywej wagi uroniłem.

Wilson podał mi cygaro (zdaje mi się, że to było nasze „krótkie“. Widocznie chciał mi dać w ten sposób poznać, że nie długo mnie zatrzyma...), ziewnął, potem puścił kilka dymów w różne strony, wreszcie rzekł:

— Pozwoliłem sobie zaprosić pana, panie Klapa, aby się osobiście poinformować z ust tak wybitnego polityka i działacza o stosunkach w Polsce, zanim sprawa polska wejdzie na porządek dzienny konferencyi pokojowej... Pozatem chciałem zwrócić pańską uwagę na niewłaściwość posądzenia mnie o to, że byłem *incognito* w Krakowie, gdy ja mej starej dałem uroczyste słowo, że bez jej wiedzy i zezwolenia ani kroku nie zrobię... Ani pan nie masz pojęcia, jakiego mi nawarzyłeś bigosu... A ja go zjeść musiałem...

— Niech to panu prezydentowi wyjdzie na zdrowie! — ja mu na to. — Ja bigos bardzo lubię, a powiadam panu, że takiego jak w Krakowie „pod Obrazem“, to nie znajdzie nigdzie, choćbyś całą Europę przeszedł wszerz i wzdłuż. Pan Piotr, minister spraw wewnętrzno-kuchennych, to poprostu artysta w tym kierunku. Powiadam panu, palce lizać i radzę przy okazyi bytności w Krakowie przekonać się osobiście o prawdziwości mych wynurzeń. Proszę się tylko u pana Stefana powołać na mnie, a ręczę, że pan prezydent nie pożałuje, iż mnie posłuchał...

— Bardzo to ładnie, mój drogi Klapo! Ja bigos bardzo lubię, choć muszę ci się przyznać, że go dotąd nie jadłem jeszcze nigdy w życiu. Ale nie jestem bynajmniej amatorem bigosu, który kto inny uwarzy, a potem ja go muszę sam zjeść...

— Ależ!... Przecież i tamten, o którym mówiłem, to nie ja gotuję i przyprawiam, lecz pan Piotr, a mimo to tak mi smakuje...

— Tak!... Ale co pan Piotr, to nie moja żona! Ona widocznie nie zna się na tem, jak się to robi, bo ten bigos, który dzięki tobie przygotowała, bynajmniej nie wyszedł mi na zdrowie. Albo, proszę cię, ta wzmianka o tem polowaniu na grzechotniki w stanie Nebrasca. Ona to wzięła za aluzyę do siebie lub do swej matki, a mej teściowej (..w tem miejscu jakoś się dziwnie skrzywił...) bo ona właśnie z tego stanu pochodzi, a po drugie grzechotników tam niema... Moja żona zaś, trzeba ci wiedzieć, ale niech to między nami zostanie, jako Czeszka z rodu, jest bardzo podejrzliwą.

— Więc pani dobrodziejka z Czech?

— Nie!... Z Ameryki!... Ona pochodzi w prostej linii od kapelmistrza tej orkiestry czeskiej, która przyjmowała Kolumba, gdy wysiadł na ziemi amerykańskiej, a którą, zdawało mu się, odkrył. To stara rodzina, od wieków tu osiadła. W archiwum rodzinnem mam jeszcze po tym praojcu mej żony nuty, z których grał podczas owego przyjęcia i trochę włosienia z jego smyczka. Podobno pochodzi ono z ogona konia trojańskiego... Mam także dwie czy trzy dziurki z jego klarnetu, bo on grywał i na innych instrumentach!

— Koń trojański?... — przerwałem.

— Skądże znowu!... Praojciec mej żony... Ona jest bardzo bliską krewną czeskiego prezydenta, Masaryka...

— Aha!... Teraz to już rozumiem, dlaczego to Czesi tak się obecnie rządzą w Europie, jak u siebie w domu i dlaczego ich dwugoniasty lew taką masę ryku wydaje... Nic dziwnego, skoro mają taką protekcyę!

— Upewniam pana, panie Klapa, że ja do tego ręki bynajmniej nie przyłożyłem, a moja żona do polityki się zupełnie nie miesza.

— Niech tam sobie pan prezydent mówi zdrów, ale ja twierdzę, że miał racyę ten, kto się wyraził, że „my rządzimy światem, ale nami rządzą kobiety“. A wiadomo, że teraz pierwsze skrzypce w koncercie światowym gra pan prezydent...

— O!... Ja nie jestem bynajmniej muzykalny!

— Ale zato pańska żona, już choćby tylko dlatego, że jest z rodu Czeszką... A wiadomo także, że każdy Czech, to muzykant, albo...

W tem miejscu ugryzłem się w język, widząc, że palnąłem głupstwo... Właściwie nie ugryzłem się, gdyż miałem jeszcze czas cofnąć go poza zęby.

Prezydent nie zauważył jednak tego. Jego myśli znajdowały się w tej chwili gdzieindziej, kto wie, czy nie w samym środku kółka dymowego, jakie właśnie puścił w powietrze i bieg jego śledził...

Rozmawialiśmy jeszcze i długo i szeroko *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, o Ameryce, grzechotnikach, Wilhelmie, Lidze narodów, Polsce i tak dalej, a zdania nasze i zapatrywania tak się zgadzały, że na końcu rozmowy, która się bardzo długo przeciągnęła, Wilson poklepał mnie po ramieniu bardzo poufale i rzekł:

— Ogromnie mi się pan podoba, panie Klapa!... Od pierwszej chwili polubiłem pana... Mów mi wuju!...

— O wuju!... — rzekłem, wlewając w te słowa tyle uczucia, na ile mnie tylko stać było.

Wuj Wilson zaprosił mnie potem na kolacyę, żałując bardzo, że mnie nie może swej żonie przedstawić, gdyż została w Ameryce. Jedliśmy różne neutralne przysmaki, o jakich wy nie macie tam w Krakowie ani pojęcia, ale to mi się nie podobało, że nie było tego czem popić, gdyż gospodarz, jak mnie zapewniał sam, z polecenia lekarzy wstrzymuje się zupełnie od trunków, zakatarzył się bowiem w czasie pobytu w Paryżu, a chciałby przyjść do zdrowia przed powrotem na łono kochającej żony.

— Więc kochany wuj eleuteryk!... — zauważyłem z uśmiechem.

— Ano, niby tak!... — dodał z westchnieniem.

— Ciekawy jestem, czy to eleuterya według dawnego, czy nowego systemu...

— Niech sobie będzie, jaka chce, ale to ci mówię, mój siostrzeńcze, że mi już bokiem wyłazi i radzę ci, miej się w czasie pobytu w Paryżu na baczności, byś nie wlazł w podobną kabałę, bo to nic przyjemnego.

— Oj, wiem to z doświadczenia lat młodych!...

— A ja ci mówię, że to doświadczenie z lat późniejszych jest jeszcze przykrzejsze...

Na pożegnanie ucałowaliśmy się, jak przystało na wuja i siostrzeńca, a Wilson zapewnił mnie, że będziemy mieć Polskę od morza do morza, o ile tylko zgodzi się na to jego żona i jej kuzyn, pan Masaryk.

Pożegnał mnie słowami:

— A kłaniaj się tam Paderewskiemu i Federowiczowi!...

Wogóle całe przyjęcie wywarło na mnie jak najlepsze wrażenie. Wchodziłem tam ze strachem, wyszedłem pewny siebie i dlatego przesyłając Wam dokładne sprawozdanie, kończę słowami poety:

„Niech żywi nie tracą nadziei!...“ *)

Wasz

Klapa.

*) Bo umarłym to i ona nie pomoże!... (przyp. zecera).

Znamienne ogłoszenie

Kino „*Uciecha*“ zamieszcza następujący anons w dziennikach:

„Jak się chwyta ptaszki na plewy“ pokazuje w sposób niesłychanie interesujący Joe Daebs, w osobie niezrównanego Maksa Landy w filmie etc.“

Jak się chwyta ptaszki na plewy to najlepiej już pokazuje kino „*Uciecha*“, łapiąc głupich na swoje filmy.

Naiwna Zosia.

Małą Zosię ugryzła raz osa w nosek. Nosek spuchł jak ogórek, a choć Zosia nie miała jeszcze lat ośmiu nawet, zapamiętała sobie dobrze to zeszpecenie swej sympatycznej twarzyczki.

Ot... Nieodrodna córa Ewy!

W jakiś czas potem zdarzyło się, że do domu rodzicielskiego przyjechała najstarsza jej siostra, która przed trzema kwartałami wyszła na mąż.

Przyjechała jakoś widocznie zmieniona, skoro zwróciła na to uwagę mała Zosia:

Zapytała bowiem raz mamę:

— Mamusiu!... Czy naszą Stefcię też osa w brzuszek ugryzła?...

Także zagadka.

Co to jest?... Od **d** się zaczyna, na **a** się kończy, można na niej siadać, a ona czasem trzeszczy?... (Deska)

Zawsze jednaki.

Pan profesor przygotowywał się do wykładu na dzień następny. Chciał on z szczególniejszą siłą podkreślić miłość ojczyzny u starożytnych, a do tego miała mu posłużyć scena pożegnania matki Spartanki ze synem, wyruszającym na wojnę. Wręczając mu tarczę, zwykła była mówić: „Wróć z nią, albo na niej!“... przez co dawała mu do poznania, że ma wrócić zwycięzcą, lub złożyć swe życie ojczyźnie w ofierze.

W tej właśnie chwili dano profesorowi znać, że chce się z nim pożegnać córka, która z swym małżonkiem wybierała się w podróż poślubną.

Wyszedł więc do salonu, aby uściskać jeszcze raz swą jedynaczkę, pobłogosławił ją na drogę, a następnie, mając ciągle głowę nabitą jutrzejszym wykładem, zwrócił się do zięcia i wskazując na córkę, rzekł z namaszczeniem:

— Wróć z nią, albo na niej!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski, Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeyskiego.



Znicz domowy.

— Nie ma to jak własne ognisko!... Jest przy czem ogrzać serce!